

Marta Mieszczanek: Oby ziemia pod twoimi stopami stawała się drogą

Leżąc w słońcu przed Katedrą z głową wspartą o mój wysłużony plecak, modląc się przy grobie świętego Jakuba i kładąc dłonie na ramionach jego rzeźby, stanowiącej centrum ołtarza Katedry czułam, że tak jak pierwszego dnia po policzkach płyną mi łzy głębokiej wdzięczności i szczęścia



Leżąc w słońcu przed Katedrą z głową wspartą o mój wysłużony plecak, modląc się przy grobie świętego Jakuba i kładąc dłonie na ramionach jego rzeźby, stanowiącej centrum ołtarza Katedry czułam, że tak jak pierwszego dnia po policzkach płyną mi łzy głębokiej wdzięczności i szczęścia

24 grudnia zeszłego roku, między pilnowaniem pasztecików z kapustą w piekarniku a wrywaniem kotom z łap wstążek do pakowania prezentów, kliknęłam „potwierdź rezerwację” na stronie tanich linii lotniczych. Bilet do Madrytu i z powrotem był prezentem dla samej siebie. O kupieniu go zdecydowałam w październiku, kiedy poczułam że doszłam w życiu do jakiejś ściany nieprzebywalnej przy pomocy znanych mi sposobów radzenia sobie z takimi ścianami. Czułam, że muszę gdzieś wyjechać, żeby nabrać dystansu, żeby z zewnątrz i z oddali spojrzeć na to, co się wydarzyło - bo wydarzyło się wiele i nie do końca potrafiłam powiązać różne końce tych historii. Moja koleżanka dotarła wtedy właśnie, po miesiącu wędrówki, do Santiago de Compostela - celu pielgrzymów z całej Europy. Przypomniała mi o takiej samej wędrówce, którą kilka lat temu odbyłam ze znajomymi. Oglądałam jej zdjęcia z wyprawy i już wiedziałam, że mój wyjazd to musi być to, że muszę wrócić na szlak świętego Jakuba.

Jakubowych dróg - Caminos de Santiago - w Hiszpanii jest wiele (pogląd na mapie), a tradycja pielgrzymowania do Santiago de Compostela sięga IX wieku, kiedy to podróż odbył ówczesny król Asturias, Alfons II. Najbardziej znana jest trasa „francuska” - Camino Frances - swój początek biorąca w Saint Jean Pied de Port i Roncesvalles, biegnąca przez serce Hiszpanii - Kastylię i León. Tę trasę, podzieloną na fragmenty, pokonałam w 2010 i 2011 roku. To szlak najbardziej spopularyzowany, jako pierwszy z sieci jakubowych dróg wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, co miało swoje konsekwencje w rozwoju infrastruktury związanej z ruchem pielgrzymim, często wspieranym przez Unię Europejską. Sieć schronisk, barów, sklepów, wszystkiego, czego może pątnik potrzebować, czasem daleko przerasta te pielgrzymie potrzeby. „Weterani” jakubowych szlaków często mówią o Camino Frances jako o drodze, która uległa

komercjalizacji. I rzeczywiście coś w tym jest. Żeby w katedrze w Santiago otrzymać *compostelę* - oficjalne potwierdzenie odbycia pielgrzymki - trzeba udokumentować w Biurze Pielgrzyma przebycie ostatnich 100 km trasy na piechotę, lub 200 km rowerem lub konno. Kto zmierza do Santiago, dzierży więc w ręku swego rodzaju „paszport” (hiszp. *credencial*, dosłownie „poświadczenie”), w którym zbiera pieczętki ze schronisk, mijanych kościołów, barów w których zatrzymuje się na kawę - żeby jakoś swój marsz udokumentować. Ostatnią miejscowością na szlaku francuskim, z której można wyruszyć i uzyskać *compostelę*, jest Sarria - dokładnie 111 km od Santiago de Compostela. Przez kolejne pięć dni zdarza się, że człowiek czuje się jak na swoich, zakopiańskich Krupówkach - tylu pielgrzymów ma przed sobą i za sobą. Jeżeli ktoś szuka na tym odcinku samotności, musi się bardzo postarać.

Mając doświadczenie tych ostatnich dni trasy francuskiej w pamięci wiedziałam, że tym razem chcę wybrać inny szlak. Potrzebowałam samotności i czasu do namysłu. Kiedyś zastanawiałam się nad pokonaniem trasy północnej, ruszającej z Irun w Kraju Basków i biegnącej wzdłuż północnego wybrzeża Hiszpanii. Ale to ponad 800 kilometrów, a ja mogłam ze swoich zajęć na studiach doktoranckich wykroić - i tak cudem! - tylko trzy tygodnie na wędrowkę razem z przelotami i przejazdami, i chciałam pokonać którąś z tras w całości. W końcu z drżeniem serca zdecydowałam się na Camino Primitivo. To najstarszy szlak do Santiago - nim właśnie do grobu świętego Jakuba zmierzał Alfons II. Najstarszy, a zarazem uznawany za najtrudniejszy i najbardziej wymagający fizycznie. Startuje z Oviedo, stolicy prowincji Asturias, i do Santiago zmierza, przecinając góry i doliny Asturias i Galicji. Masa podejść, zejść i nieprzewidywalnej górskiej pogody ze wskazaniem na deszczową - oto co mnie, miłośniczkę płaskich andaluzyjskich i nadbałtyckich plaż, osobę ginącą marnie w starciu z

polskimi Pieninami, miało na tej trasie w wybranej porze roku - przełom kwietnia i maja - czekać. Położyłam wszystkie swoje przyzwyczajenia, ograniczenia nie do przeskoczenia, lęki i strachy na jednej szali wagi, a na drugiej - to, co chciałam zostawić za sobą i odrobinę szaleństwa pod hasłem „ahoj przygodo”. Druga szala przeważała i tak oto 25 kwietnia około 14 znalazłam się w Oviedo, wysiadając z pociągu relacji Madryt - Gijon.

Gdyby nie to, że element „ahoj przygodo” zaczął brać górę w moim umyśle, pewnie zatrzymałabym się w Oviedo w schronisku i ruszyła do Santiago następnego dnia rano. Ale kilka dni wcześniej, jeszcze w Polsce, po raz setny przeliczając przed snem kilometry planowanych etapów odkryłam, że jeśli trochę je poprzesuвам, będę mogła dojść nie tylko do Santiago, ale i do Finisterre - miejsca, które aż do XVII wieku było uważane za prawdziwy koniec świata, i do którego pielgrzymi bardzo często kontynuowali swoją wędrówkę, by symbolicznie zakończyć ją nad oceanem. Marzyłam o dotarciu tam od pierwszego kroku na jakubowej drodze, postawionego w 2010 roku i teraz otwierało się przede mną maleńkie i niezbyt wygodne okienko szansy, że w końcu mi się uda. Maleńkie i niewygodne, bo wymagało ode mnie pokonywania mniej więcej 30 kilometrów dziennie, a pamiętałam, że podczas poprzednich wędrówek etapy długości 25 kilometrów kończyłam, zupełnie otwarcie płacząc ze zmęczenia. Coś mi jednak podpowiadało, że trzeba spróbować, i prosto z pociągu pomaszerowałam do katedry w Oviedo pod wezwaniem Świętego Zbawiciela. Zostawiłam przygotowany do wędrówki plecak pod czujną opieką przewodniczek i pochylając głowę przed ołtarzem, wyszeptałam intencje które miałam zamiar zanieść do Santiago. Podstemplowałam w katedralnym biurze credencial, zarzuciłam plecak na plecy i ruszyłam.

Miałam przed sobą 30 kilometrów i planowałam do celu dotrzeć około 20 - jeszcze przed zmrokiem. Pierwsze dziesięć kilometrów pokonałam żwawo i w słońcu, nie spotykając żywej duszy. Po krótkiej przerwie na kawę w przydrożnym barze ruszyłam dalej i napotkałam wszystkie trudności, jakie miały mi towarzyszyć przez następne dni: ostre podejście (z plecaka wyciągnęłam kijki trekkingowe i aż do Finisterre ich nie schowałam), deszcz z ostrym wiatrem, i cały czas - żywego człowieka na trasie. O zakładanej 20 byłam jeszcze kilka kilometrów od swojego celu, a powoli zaczynało się ściemniać. W mijanym sklepie sprzedawczynie powiedziała, że do schroniska zostało mi jakieś pół godziny drogi. Pokrzepiona tym zapewnieniem, z prowiantem ruszyłam pod górę; szłam przez coraz mniejsze wsie, coraz gorzej oświetlone, coraz mniej zamieszkane. Gdzieś w oddali majaczyły światła autostrady. Po godzinie zapytałam o drogę spotkanego staruszka: wedle niego do celu brakowało mi około kilometra. Pokazał mi palcem światła schroniska i przykazał, bym trzymała się głównej drogi. Było już zupełnie ciemno, deszcz lał jak z cebra, zupełnie nieoświetlona droga skręcała powoli w zupełnie innym kierunku niż wcześniej pokazywane światła schroniska. Szłam, gadając głośno do siebie żeby dodać sobie animuszu. Chciałam zadzwonić do opiekuna schroniska, ale był poza zasięgiem sieci komórkowej. Zaciśnęłam zęby i szłam dalej - nie miałam za bardzo innego wyjścia. Minęłam wieś w której wolno biegające psy obszczekały i obwarczały mnie od góry do dołu, a w oknach nie paliło się żadne światła. Ponownie zadzwoniłam do gospodarza schroniska, ale nadal nie odbierał. Zaczęłam się zastanawiać, jak po hiszpańsku określić swoje położenie, dzwoniąc do służb ratunkowych. Z takimi niewesołymi myślami dotarłam w końcu do rozstajów dróg i cudem wyłuskałam z ciemności muszlę pokazującą drogę. Za zakrętem zobaczyłam rozświetlone okna niskiego budynku, a przez szum deszczu dobiegły mnie głosy rozmów. Tabliczka na

budynku potwierdzała moje nadzieje - to schronisko! Zapukałam do drzwi i wsunęłam przez nie swoją głowę w kapturze przeciwdeszczowej peleryny, żeby zapytać: *Hay sitio para dormir?*(czy jest miejsce do spania?). W środku przy stole siedziało dziesięciu rośliwych mężczyzn, na których twarzach odmalowywała się teraz cała paleta emocji: od zaskoczenia, przez niedowierzanie i przerażenie, po troskę zmieszaną z podziwem. Plecak i peleryna zostały ze mnie zdjęte, kurtka powieszona na suszarce, nagle zmaterializowała się przede mną wielka szklanka wody, ktoś wstawiał już herbatę i pytał, czy jestem głodna. Gospodarz, Domingo, pokazał mi łazienkę i zapowiedział, że jak tylko się wykąpię, będzie na mnie czekała kolacja. Biorąc gorący prysznic czułam, jak po twarzy spływają mi łzy szczęścia i wdzięczności. Była 22.30.

Rano obudziłam się, rozejrzałam po sali i zrozumiałam, że łóżko, na którym poprzedniego wieczoru Domingo rozłożył mój śpiwór, było ostatnim wolnym tego dnia miejscem w schronisku. Uporządkowałam plecak, zjadłam śniadanie, wyszłam przed schronisko - podniosłam głowę i cicho podziękowałam za opiekę świętemu Kubie. I w drogę - niemal ostatnia, mało brakowało żebym wybrała zły kierunek, ale na właściwą ścieżkę zawrócił mnie inny pielgrzym.

Następne dni były pełne takich cudów w mikroskali. Spotkałam w drodze niesamowitych ludzi - o każdym z osobna można by było napisać książkę. Martina z Niemiec, pracująca w sztabie ochraniającym imprezy masowe i działającym w sytuacjach kryzysowych. Toni z Francji, były żołnierz i weteran z Afganistanu. Xavi, pracownik hiszpańskiego ministerstwa obrony narodowej, szlak do Santiago pokonujący któryś raz z rzędu. Gerald, Brytyjczyk który na trasie znalazł się niemal przypadkiem, w przerwie między zakończeniem jednej pracy a rozpoczęciem drugiej. I ośmiu kierowców taksówek z

Lanzarote. Zmagaliśmy się razem z deszczem, błotem sięgającym kostek, wiatrem, nawet śniegiem - bo 1 maja w Galicji padał śnieg. Razem śpiewaliśmy, klęliśmy na czym świat stoi, przeklinaliśmy dzień w którym przyszło nam do głowy żeby wybrać się na Camino Primitivo w tej porze roku, razem padaliśmy na krzesła w codziennej przerwie kawowej i rzucaliśmy się na obiad po całym dniu marszu. Razem pokonywaliśmy 20 kilometrów drogi bez śladu cywilizacji przez góry, znaczone tylko ruinami średniowiecznych szpitali dla pielgrzymów, zajmowaliśmy się swoimi pęcherzami i plastrami, gotowaliśmy. Razem siedzieliśmy na bruku Plaza de Obradoiro przed katedrą w Santiago de Compostela po 320 km wędrówki i razem nie dowierzaliśmy, że udało nam się tam dotrzeć, mimo że dla prawie każdego z nas był to kolejny raz na szlaku.

Leżąc w słońcu przed Katedrą z głową wspartą o mój wysłużony plecak, modląc się przy grobie świętego Jakuba i kładąc dłonie na ramionach jego rzeźby, stanowiącej centrum ołtarza Katedry czułam, że tak jak pierwszego dnia po policzkach płyną mi łzy głębokiej wdzięczności i szczęścia. Uśmiech przez łzy cisnął się na twarz, kiedy oparłam się o słupek głoszący „KM 00,0” przy latarni morskiej na przylądku Finisterre, gdzie wraz z zachodem słońca naprawdę kończy się droga. I gdzie Droga tak naprawdę się zaczyna.

Trzy dni później byłam już w Polsce, na zajęciach o zmianach w strukturze klasowej, o metodach badań ilościowych. Trzeba było zająć się egzaminami, esejami na zakończenie seminariów, referatami, przygotowaniem do koncertu finałowego szkoły flamenco, w której się uczę i od jakiegoś czasu uczę też innych. Prosto z drogi w wir codzienności, która jednak wyglądała jakoś inaczej. I prosto do znajomych, którzy pytali: Po co? Dlaczego? I najważniejsze: co z tego

zostaje? Odbyłam wiele takich rozmów, czasem z zupełnie niespodziewanymi osobami, i odpowiadając na ich pytania, próbowałam na nie odpowiedzieć sobie. Bo będąc w drodze, nie zdążyłam się nad nimi zastanowić. I może jest to jedna z tych rzeczy, które z bycia w drodze się wynosi: wobec jej trudności i zmagania z codziennymi przeciwnościami nie pozostaje nic innego, jak być tu i teraz, w tym co jest nam dane, i zrobić z tego jak najlepszy użytek. Nie ma czasu, żeby nadawać rzeczom inne znaczenie, niż to, które mają w danej chwili; czasu na dopisywanie interpretacji zdarzeniom i intencji ludziom. Okulary przeciwsłoneczne służą do ochrony przed słońcem, kurtka - do ochrony przed wiatrem, książka i notatnik do czytania i notowania, a nie wyznaczania różnic statusu. Drugi człowiek jest towarzyszem w podróży, a nie środkiem do osiągnięcia jakiegokolwiek celu. Bo chociaż wędrujemy razem, to koniec końców każdy z nas jest w tej drodze sam ze swoimi słabościami, ograniczeniami i strachami, sam ze swoimi intencjami, motywacjami i decyzjami. Czy dzisiaj przejdę 25 kilometrów, czy dowlokę się trzy kilometry dalej? Czy peleryna przeciwdeszczowa, podarta trzy dni temu, kwalifikuje się do zostawienia w schronisku, czy jednak jeszcze będzie z niej użytek? A książka, której nie otworzyłam od dnia wyruszenia, chociaż miałam szczyry zamiar w końcu ją przestudiować?

Samotna droga do Santiago pokazała mi, gdzie naprawdę leżą moje granice i okazało się, że to zupełnie inne miejsce, niż się spodziewałam. Nie myślałam o sobie jako o kimś, kto decyduje się przejść 400 kilometrów przez góry i doliny w deszczu i wietrze, ufając że po drodze nie przydarzy się nic co mnie z tej drogi zawróci. A jednak okazało się, że to właśnie ja. Dlatego bywa, że Camino jest samo w sobie granicą: krętą, pagórkowatą, znaczoną krokami i żółtymi strzałkami. Narysowaną na mapie, ale wyraźniej widoczną w duszy tego, kto tę drogę przemierza. Granicą między różnymi sposobami

postrzegania siebie i świata. I dlatego, paradoksalnie, Santiago de Compostela i grób świętego Jakuba są celem tej wędrówki tylko trochę - o tyle, o ile pielgrzymka winna zakończyć się w jakimś miejscu naznaczonym epifanią. Osiągnięcie go stanowi swego rodzaju potwierdzenie tego wszystkiego, co wydarzy się w drodze; przypieczętowanie wszystkich zmian. Słusznie jednak mawiają gospodarze schronisk i inni pielgrzymi: Camino nie kończy się w Santiago de Compostela, ono tam się dopiero tak naprawdę zaczyna. Kiedy wracamy do naszego codziennego profanum, najtrudniejsze jest zachowanie w sobie tego, co zmieniło się w nas w drodze.

Co zmieniło się we mnie, co zyskałam w tej samotnej wędrówce? Przede wszystkim dużo spokoju. Przekonanie, że można przekraczać granice o których myśli się, że są nieprzekraczalne. Umiejętność zaufania sobie samej i swoim możliwościom. Wiedzę o tym, bez czego nie mogę się w życiu obejść, co potrafię zostawić za sobą, a z czym nie umiem się rozstać. Wiarę w to, że droga i Droga wynagradzają trud, jaki w nie wkładamy. I w to, że jeśli z pomrukiem „maybe it doesn't kill us” na rozstaju szlaku wybieram błotnistą, górską ścieżkę zamiast trawersującej wzniesienie asfaltowej szosy, mogę na tym wyjść lepiej niż ci, którzy wybiorą szosę.

Marta Mieszczanek

Tekst ukazał się pierwotnie na blogu autorki na Salon24.pl